

Bliski Wschód pod mikroskopem

# „Nasi” w Palestynie

Wschód! Dziwne słowo. Słowo, które pociąga melodią, granatem południowego nieba, szumem palm, powodzią barw...

Cel marzeń sztubackich, pole pionierskich wysiłków, raj dla awanturniczych dusz.

Wyrwała się w końcu stęskniona szerokiego świata dusza. Przespała parę nocy na rytualnym łożu zazydzonych i zapluskwionych statków, tłostała morskiej choroby od koszernej dań i widoku rozchwalonych, rozhasanych i roznamlanych żydów, ogłuchła od przeraźliwych tonów majufel-

Tel-Avivu i klnie: „Nie szkoda było tych pieniędzy w Palestynie pakować? Lepiej by je było rozdać biednym żydom w Europie!”. Włosy stają dęba na głowie na myśl, że takich żydów może się znaleźć więcej i zamiast w Palestynie, poczną gotówkę pchać w polskie ghetta.

I tak wszędzie, na każdym kroku. Czyżby więc żydzi zniechęcili się do swojej ziemi obiecanej? Co w tym tkwi?

By odpowiedzieć na te pytania, trzeba zajrzeć do żydowskich kolonii, położonych w głębi kraju,

Anglików. Za to do fotografii pozują z karabinami w rękę, obwieszeni pasami z nabojami, z buńczuczną miną — byle tylko w Europie (a w Polsce szczególnie) wiedzieli, że oni — żydzi — są silni, potężni, nie znający strachu. Brrrr! jak taki złapie za karabin, to tylko wiać, bo jeszcze gotów wystrzelić. No — on to na pewno zrobi — czemu nie — byle tylko ze trzydziestu Szkotów przed nim stało i chroniło biednego żydka przed tymi chuliganami, antysemitnikami i w ogóle chamami Arabami. Uuj, jak oni się ich boją!

I wśród właśnie tych miłych żydów jest kasta, potężny, bo prawie dwustutysięczny klan, znienawidzony zarówno przez Arabów, jak i przez samych żydów. Klan za nic w świecie nie chcący zmienić swojego obywatelstwa, trzymający się kurczowo granatowych paszportów i wywodzący się z Nalewkowskiego czy Kaziemierzowskiego ghetta — klan polskich żydów. Oj, jak ich żydki niemieckie czy amerykańskie i

inne jeszcze nie lubią. Bo to taki niechlujny, butny, wrzaskliwy i śmieszny, że aż strach! I żydki polskie chadzą swoimi drogami. Oni sobie w większości do Palestyny przejechali tylko tak — by zmienić trochę klimat, może jakiś interesik ubić. Ale to na krótko. Wszyscy chcą wrócić do swojego kochanego kraju — Polski!

Jak im tam było dobrze. Jak ich tam szanowali i poważali i ile im dawali i pozwalali. Cy... cy...

Choć teraz trochę gorąco, ale zawsze lepiej, niż wśród tych chamów Arabów. W Palestynie to i kulą i nożem łatwo można dostać. Nieprzyjemny kraj. Lepiej już wracać do Polski.

Paszporty regularnie przedłużają (Skarb Polski zarabia), obywatelstwo angielskie, broń Boże, żeby który przyjął. Klub mają rocznice i imieniny obchodzą — a jakże — pieniądze dają. W ogóle idealne patrioty. Na wzór ich antysemitnikom, chuliganom pokazywać!!!

## Katolicyzm w Anglii

Odczyt prof. dr. A. Tretiaka

W cyklu „Wieczorów dyskusyjnych”, zorganizowanych w warszawskim Domu Katolickim, mówił doktor Andrzej Tretiak, profesor filologii angielskiej na Uniwersytecie J. Piłsudskiego na temat „Zagadnienie literatury katolickiej w Anglii”.

Od czterech wieków protestantyzm wślizgał w krew Anglików. Dziś na 40.000.000 mieszkańców Anglii i Walii jest 2.340.000 katolików, t.j. 6 proc. W tym połowa to są Irlandczycy, a 1/4 konwertyci z pierwszego pokolenia. To też liczba rzeczywistych, praktykujących, mocnych katolików można określić na 500.000.

Protestantyzm jako religia przeżył się. Większość Anglików jest dziś indyferentami lub po prostu poganami. Ale narodowy charakter angielski jest ciągle przepełniony duchem protestantyzmu. W takich warunkach

kach literatura katolicka nie ma żadnych niemal podstaw. Powieść i dramat katolicki prawie nie istnieje. (Zresztą trudno stworzyć w ogóle powieść czy dramat pożytywnie katolicki). Istnieje w Anglii jedynie liryczna poezja katolicka, a przede wszystkim poezja prasa katolicka (nie ma jednak ani jednego dziennika), która obejmuje znane i za granicę periodyki jak np.: the Dublin Review, Arena, the Christian Front, the Month, the Universe, G. K.'s Weekly (którego redaktorem był G. K. Chesterton). Z tych właśnie kół wywodzi się najwybitniejsi pisarze katolicki, jak Chesterton i Hilary Belloc.

W sumie wpływ całej literatury katolickiej na życie angielskie jest znikomy, gdyż katolicyzm pozostaje ciągle zupełnie obcy i niezrozumiały dla przeciętnego Anglika. To, czego nie może spełnić literatura katolicka, spełnia t.j. literatura angielska, którą reprezentują ci spośród protestantów, co chcą zreformować kościół Anglikański, a nawet niektórzy ortodoksyjni protestanci, zbliżający się do pojęcia katolicyzmu (Dzielo Chambersa o św. Tomaszu Morusie; św. Joanna B. Shaw'a).

M. Pod.

Pierwszorzędnej jakości KALKI, TAŚMY, ATRAMENTY, TUSZE, KLEJE poleca

FABRYKA CHEMICZNA „SŁOŃCE” Spółka z o.o.  
WARSZAWA, ul. LUDŃA 64, tel. 9-33-55  
Żądać wszędzie



Zeuropelizowana dzielnica

sow wytańcowywanych przez bohaterów machabeuszów, udających się na podbój Palestyny... i wreszcie wyjechała na ład.

Staneła obława nogami na ukochanym i wysnionym Wschodzie, rozprężyła ramiona i — zaklęła. Bledna dusza marzyciela!

I że pierwszym etapem Bliskiego Wschodu jest Palestyna — na to już nikt nie pomoże. A etap ten zniechęca.

Żydzi. To jedno słowo wystarcza za wszystkie i można by się nie tłumaczyć z antypatii, jakiej się w pierwszej odruchu chwili pobytu na Wschodzie nabiera od otoczenia, gdyby nie pewne fakty godne uwagi dla nas — Polaków, szczęśliwych posiadaczy trzech milionów przedstawicieli tego najgorszego z plemion semickich (w Palestynie jest ich niecały milion!).

Pierwsze kroki, pierwszy rzut oka — to Tel Aviv. Gdy ogląda się na dużą miarę zakrojony (zbudowany nie przez żydów, lecz przez Anglików) port, gdy idąc asfaltowanymi ulicami miasta podziwia się czyste, podobne do pudełek domy i wille, gdy wdycha się zapachy pomarańczowych plantacji, mogłoby się здаwać, że znajduje się człowiek w prawdziwym ziemskim raju. Niestety — w tym raju są ludzie rozwrzeszczani i aroganccy, wzięci żywcem z naszych Nalewek — żydzi.

Tel-Aviv. Polskie miasto. Same polskie żydki. Wszędzie po polsku można się rozmówić — na dancingu, w sklepie czy bóżnicy. Aż wstyd.

Lecz jedno zastanawia nowoprzybyłego goja: umiera stary żyd i błąka rodzinę, by go pochowano w Jerozolimie. Broń Boże w Tel-Avivi. Czyżby dlatego, że chce leżeć w pobliżu świątyni Salomona? Albo: Zasobny w gotówkę przemysłowiec naftowy, rumuńsko-łotewski żyd, wraca z

gdzie wśród równych szpalerów pomarańczowych drzew przechadza się odziani w skórzaną kurtki, wrzaskliwi żydzi, gdzie wśród równych rzędów małych domków panuje rozpusta i samowola, gdzie komunista jest każdy i każda!

Sami żydzi twierdzą, że gdyby nie swoboda seksualna, panująca wśród palestyńskich żydów, rzadko który żyd europejski pojechałby tam. Oszukiwać nie ma kogo, bo Arabowie i biedni i nie dają się, Anglicy trzymają żydów za pysk i też im na dużo nie pozwalają — ale zato seks można w zupełności zaspokoić, a to dla żydów nie byle co! I komuna! Garń się do niej, podziwiają ją, kochają ją. Można wszystko, można z każdą — „oj, jaka ta komuna przyjemna”. Skórzane kórtki już sobie sprawili, czerwonych gwiazd jeszcze nie, bo Anglicy nie pozwalają — ale i na to przyjdzie czas.

Starzy żydzi podnoszą gwałt. Gdzie się podziały te, tak ściśle przestrzegane w Europie zasady Talmudu? Gdzie się podziała solidarność żydowska. Młode żydki nie chcą szabasu świętować. Do ciężkiej roboty też się nie nadają — tylko handel — ale z kim?

Z bólem spoglądają pierzaste palmy na swych dawnych panów — Arabów, dzwigających dzisiaj w porcie ciężary żydowskie lub uganiających się po górach ze strzelbą i granatem w rękę. Miast białych lub czarnych haików (zawoi) i burnusów. Panoszą się na arabskiej ziemi skórzane czapki i z żydowska po angielsku noszone chelmy. Grube żydowice parady po ulicach w rozbrajające krótkich szortach (spodenki) pokazując co mają najbrzydszego; aroganckie żydziaki bezkarne naigrawają się z wielkanocnych uroczystości jerozolimskich, a gdy Arab dotknie ich palcem, wrzeszczą „gwałt — mordują” i lecą pod opiekę humanitarnych

## „Sama idea jest niezniszczalna” Reakcja Niemiec na katastrofę „Hindenburga”

Legenda starożytności o Ikarze jest wymownym dowodem, że chęć opłynięcia przestworzy podniebnych nie była obcą ludzkości już przed tysiącami lat. Wśród niezliczonych ryśunków i obliczeń ze spuścizny po Leonardzie da Vinci sporo miejsca zajmują również sprawy stworzenia latającej maszyny, a znawcy utrzymują, że sama idea przeprowadzona została w tych obliczeniach Leonarda w sposób, o całej wielkiej wyprzedzającej ówczesną wiedzę ludzką w tym przedmiocie. Ale też żadna chyba dziedzina wynalazków nie pochłonęła tyle ofiar w ludziach i pieniądzu, co właśnie lotnictwo we wszelkich jego odmianach. Może dlatego, że dokonany przez nie przewrót był w dziejach cywilizowanej ludzkości najpotężniejszy, a tak wielką zdobycz trzeba opłacać hojną daniną krwi i życia.

Ostatnia katastrofa „Hindenburga” jest jednym z bardzo licznych ogniw w łańcuchu mniej lub więcej tragicznych wypadków, których ofiarą padali sterowce, stanowiące jeden z najbardziej charakterystycznych dla wieku dwudziestego wynalazków. Pierwszy z tych wypadków miał miejsce w sierpniu 1908 roku pod Echterdingen, kiedy skutkiem wybuchu zginął drugi sterowiec hr. Zeppelina. Rola i zasługi sterowców wobec Niemiec mogły być ocenione należycie dopiero w okresie wojny światowej. Wówczas zjawienie się „cygar” nad krajem nieprzyjacielskim powodowało nieopisany popłoch. Ze wtedy ginęły — uważano to, i słusznie, za objaw normalny wojny.

Po wojnie, która dała przecie tyle sposobności do poczynienia prób i doświadczeń, technika budowy sterowców bardzo postąpiła naprzód, niemniej jednak nie obywało się bez ofiar. Dość powiedzieć, że w stosunkowo krótkim okresie lat 18 (od 1919 do 1937) padło ofiarą katastrof 8 wielkich sterowców, w tej liczbie cztery amerykańskie, trzy angielskie, a jeden francuski. Zginęło podczas nich kilkuset ludzi. Zwłoki bywały nieraz tak zgwożone, że nie mogło być nawet mowy o ich rozpoznaniu.

Tylko sterowce niemieckie potrafiły ustrzec się wypadków, chociaż one to jedynie pełniły ciężką służbę komunikacyjną. Od lat kilku obsługi-

wały mianowicie linię powietrzną Europa — Ameryka południowa, na której kursował stale „Orat Zeppelin”. Odbył on uprzednio szereg lotów nad Europą, aby po nich wyruszyć w tryumfalną podróż do Japonii i Ameryki. Ludy całego świata podziwiali w postaci „Zeppelina” niemiecki geniusz techniczny i wytrwałą pracę. Wszystkie loty tego sterowca odbyły się bez poważniejszych wypadków, choć w jednym tylko roku 80 razy przeleciał nad Atlantykiem i przewoził ponad 1500 pasażerów, skracając kilkakrotnie normalny dotychczas podróży.

W roku ubiegłym przystąpiono (przy współpracy niemiecko-amerykańskiej) do organizowania stałej komunikacji sterowcami nad Atlantykiem północnym. Chłuba Niemiec, sterowiec „Hindenburg”, dwa razy szybszy od „Zeppelina”, odbył wiele próbnych podróży z Europy do Nowego Jorku, chodzą bowiem organizatorom, a szczególnie konstruktorowi Eckenerowi, o zbadanie wszelkich warunków i trudności przelotu nad tą częścią oceanu. Te próby wypadły bardzo pomyślnie, a dzięki nim ustalono, że przelot z Europy (Frankfurt nad Menem) do Nowego Jorku trwał będzie 65 do 70 godzin, droga powrotna zaś około 55 godzin. (Niewtajemniczonym przypominać, że tak znaczna różnica czasu spowodowana jest silnymi wiatrami, wędzącymi stale od Ameryki ku Europie na wysokości lotów sterowca).

Najkrótszy czas przelotu do Europy wyniósł podczas tych prób prawie 43 godziny, a w kierunku odwrotnym — prawie 53 godziny. Po tych próbach z Frankfurtu nad Menem, który miał być stacją dla Ameryki północnej tak, jak jest nią Friedrichshafen dla południowej, w początkach maja wyruszył „Hindenburg” w pierwszą regularną podróż, zabrawszy wielu pasażerów, bagaż i pocztę. Tego samego tygodnia miał powrócić do Europy. Zamiast niego dotarła jednak do Niemiec tylko wieść o strasznej katastrofie, która kraj ten pogryzła w żalobie.

Jeszcze nie obeszły żył tych, których katastrofa „Hindenburga” dotknęła najbardziej bezpośrednio, a już specjalna komisja zajęła się druznawo badanem przyczyn. Twierdzą ogólnie, że nikt nie dorównał

Niemcom, jeśli chodzi o pomysłość i wytrwałość w rozwiązywaniu różnych trudności konstrukcyjnych w zakresie budowy sterowców. Ze posiadali oni znakomicie wyrobiony instynkt ludzki, mający służyć do kierowania subtelną machiną, jaką jest sterowiec. Te właśnie dane sprawiły, iż coraz bardziej świat skłonny był do uznania opinii, że nauka niemiecka góruje. Jedna chwila — i z tego wspaniałego gmachu złudzeń zostało tylko przekonanie, że najbardziej doskonały sterowiec niemiecki jest właściwie olbrzymią kulą gazową, nieskonczenie bardziej uzależnioną od kaprysów atmosfery, aniżeli samoloty.

Bo cóż stwierdzili najbardziej mądraladzie znaną komendanta lotniska w Lakehurst (sterowiec miał na razie lądować na lotnisku wojskowym aż do czasu zbudowania specjalnego dla komunikacji), Rosen-dahla? Że w wypadku z „Hindenburgiem” nie może być mowy, by pożar został wywołany przez wyładowanie elektryczności atmosferycznej lub też przez iskry, powstałe przy zapuszczeniu kotłowych silników. A więc?

I tu właśnie przechodzimy do najsmutniejszej, lecz i najistotniejszej sprawy. Wielki kadłub „Hindenburga” mający 290 tysięcy mtr. sześć pojemności, napelniony był wodorem. Wódor z pewnego względu jest gazem dla sterowców bardzo wygodnym, gdyż waży około 15 razy mniej, aniżeli powietrze. Ale używanie go połączone jest z olbrzymim niebezpieczeństwem, bo wódor niezmierzalnie łatwo zapala się. To też podziwianie należy odważyć całej załogi „Hindenburga”, że udała się w podróż, wiedząc, iż sterowiec napelniony jest wodorem. Ale niemiecy zastanawiający się fakt zabraniający placących za przejazd pasażerów, którzy nie wiedzieli o tym, w jak niebezpieczną, z uwagi na ten wódor, wyruszają podróż.

Te kłopoty w Niemczech, które poświęciły się sprawie komunikacji sterowcami, wiedzieli już nadto dobrze, iż do wypelnienia kadłuba statków, nadaje się tylko hel, jako gaz zupełnie niepalny. Jest on, co prawda, dwa razy cięższy od wodoru i stosunkowo bardzo drogi, ale nie nadgryza powłoki, w której się znajduje, i nie ulatnia się

ich dym.

W. Szary

## Mała i wielka polityka

Linii podziałów w Polsce nie brak. Ludzie dzielą się według wieku, według przeszłości, według sympatii osobistych, mimo wszystko jeszcze trochę według dzielnic, z których pochodzą, według „klas”, według partii politycznych, ba! czasem nawet według wyznawanych światopoglądów.

Jest jednak jeszcze inny podział. Bardzo istotny i bardzo mało dostrzegany.

Wśród ludzi, zajmujących się życiem społecznym, są dwa zasadnicze typy: tacy, którzy się zajmują polityką wielką i tacy, którzy pamiętają o małej.

Praktyczny przykład znaczenia obu tych typów ludzi miałem niedawno.

Jest w Warszawie taka kawiarnia, w której w godzinach południowych schodzi się świat wielkiej polityki. Przy kilkunastu stołkach siedzi kilka starszych pań profesor z brodą, trochę emery-

tów, paru działaczy z różnych organizacji. Czasem przypłaczają się jeszcze jakiś dziennikarz.

Pół czarnej kosztuje tylko 50 groszy, a w lecie jest otwarty taras. Poza wielkimi działaczami politycznymi nikt w godzinach po południowych do kawiarni tej nie chodzi. Stali klienci mają 20 proc. rabatu.

Ułatwia to znakomicie rozległą akcję polityczną. Plany przebudowy świata i Polski omawiane są na szerokim tle ostatnich plotek. W kawiarni zbierają się wyłącznie ludzie doskonale o wszystkim poinformowani z najpewniejszych poufnych źródeł.

Rozmowy utrzymane są na wysokim poziomie. Sprawy mniejszej wagi, niż na przykład zmiana ministra nie są tam z reguły omawiane.

Świat i Polska wyglądałyby zupełnie inaczej, gdyby znaleźli się ludzie, gotowi wprowadzić w czyn

plany, ułożone przy półczarnej.

W gruncie rzeczy o to tylko chodzi, bo już od wielu lat codziennie między godziną dwunastą o drugą w znanej kawiarni można otrzymać gotowy wielki plan polityczny, przystosowany do aktualnej sytuacji świata i Polski. Oczywiście jest to plan rewolucyjny. Jeszcze przed dwoma laty, oprócz kilkunastu działaczy i działaczek politycznych, przychodził do kawiarni pan w średnim wieku z przeciętnym nosem, z przeciętnym czołem, z przeciętnymi uszami z bliżej nieokreślonym kolorem oczu, średniego wzrostu.

Był to jednym słowem ideał przeciętności. Jego przeciętność była aż rażąca. Z tego punktu widzenia wybrano go zapewne. Siadywał przy stoliku zawsze samotny, zatopiony w lekturze gazet.

Starsza pani wiodąca prym wśród grona wybitnych polityków kładła palec na ustach, gdy koło stolika przechodził ów przeciętny gość. Obecność jego przekonywała dostojne grono, siedzące nad pół czarnej o doniosłości ich

rozmów.

Pewnego dnia nieznamy przebiegły zniknął. Przestał prosto przychodzić do kawiarni. Wywołało to głębokie rozczalenie przy wszystkich stolikach. To był po prostu policzek. Jaskrawy dowód lekceważenia, okazany południowym gościom znanej kawiarni przez... wiadomo przez kogo.

Nigdy bardziej niż w tym dniu nie żałowali oni, że brak ludzi gotowych do wykonania ich świętych, szeroko planów. Chęć zemsty za obrazę pałała w nich.

Niedawno nastąpiła od nowa kawiarni, co oczywiście przyczyniło się do rozszerzenia grona uczestników narad i przedłużenia ich czasu. Obecnie konferencje są czynią się już o jedenastej, a kończą koło trzeciej.

Zdarzyło się raz, że jeden z uczestników dostojnych narad, nie miał kandydat na ministra, nie przyszedł. Potem zjawił się znów, ale potem znów przez dwa dni z kolei nie pokazał się. Zaczął przychodzić coraz rzadziej, wreszcie zupełnie znikł z horyzon-

tu. Gdy zapytałem o niego, objaśniono mi, że przestał już zajmować się zagadnieniami politycznymi, że widać nie go już nie obchodzi losy państwa. Prosto poświecił się chyba sprawom osobistym.

Spotkałem kiedyś na ulicy tego odstępce.

— Cóż pan robi? — zapytałem się.

— Wie pan, mam teraz masę roboty. Zająłem się takim jednym interesem. Na przedmieściu, na którym mieszkam założono kasę bezprocentową. Trudno to idzie, masę czasu zajmuje. Pieniądzy niema, choć ochotników na pożyczki nie brak.

— A życiem politycznym nie zajmuje się Pan?

— Już nie. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że nie wszyscy są powołani do wielkich zadań, do wielkiej polityki. Zresztą ostatnio już nie bardzo rozumiałem, o czym tam mówiono na piątku (kawiarnia mieściła się na I piętrze). Za wysoki poziom był dla mnie.

Po chwili namysłu dodał jednak:

— Zresztą nie wiem, czy to, co teraz robię nie jest przypadkiem polityką. Tylko to taka mała polityka. Nie taka wielka jak ta, którą zajmowałem się przedtem. Wiele moja robota nie zmieni, nie pociągnie za sobą takiej rewolucji, jak plany moich poprzednich towarzyszy od półczarnej, gdy będą urzeczywistnione. — Jedno mnie tylko pociesza...

— No?

— To, że moja mała polityka już teraz się poniekąd urzeczywistnia, a tamci jeszcze może poczekają. Kto wie, może to ja właśnie zrobić rewolucję, jeżeli tylko inni mi pomogą...

— Kto wie proszę pana — odpowiedziałem — ja też myślę, że najpierw trzeba zrobić małą politykę, a potem można będzie zrobić wielką. Najpierw trzeba trochę pracować w kasach bezprocentowych, może nad oświatą, może nad handlem, może prosto nad praktycznym przestudiowaniem pewnych spraw bardzo konkretnych, a potem jest czas na wielkie kombinacje... Trzeba robić małą politykę w imię wielkich idei...